

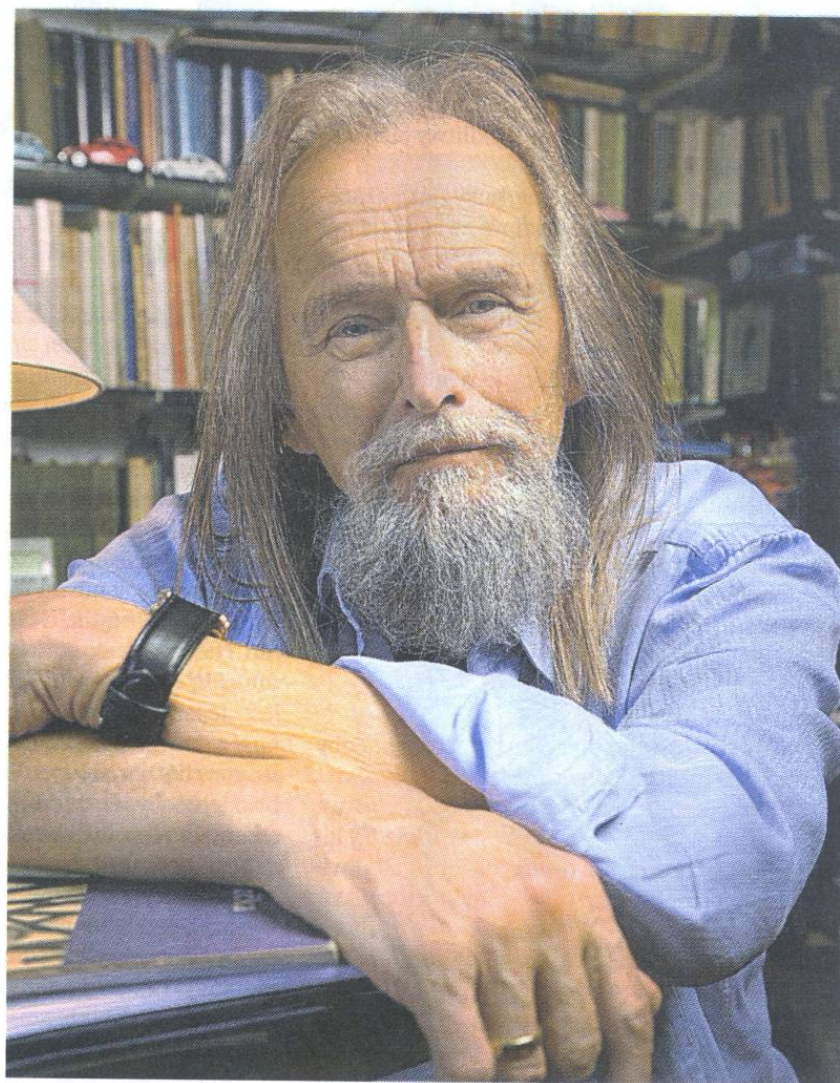
10 zasad życia

w nowym niewspaniątym świecie

- 1 Odzyskajmy i praktykujmy czułość dla świata naszej codziennej krzątaniny.
- 2 Docenimy przygodność naszego życia. Przesuńmy akcent z tego, co planowaliśmy, na to, co niczym kornik drąży w naszych planach swoje szlaki.
- 3 Odzyskajmy autonomiczność życia, wyrwijmy je z zachłannych objęć władzy, której uścisk pozornie chroni, w istocie szybko zaczyna dusić.
- 4 Nie tyle posłusznie słuchajmy, ile samodzielnie i krytycznie słyszymy. Wokół sączy się szum manipulacji.
- 5 Przywróćmy wstyadowi należne miejsce jako warunkowi mądrej polityki.
- 6 Uwierzmy, że nie ten jest górą, kto zalewa rozmówcę potokiem słów, lecz ten, kto potrafi wysłuchać i precyzyjnie odnieść się do tego, co usłyszał.
- 7 Unikajmy budowania murów i chowania się w kryjówkach. To niezbędne, by zrozumieć różnorodność i bogactwo świata. Nie budujmy kultu „swojskości”.
- 8 Miejmy poczucie humoru, bo nic tak nie sprzyja tworzeniu wyłomów w istniejących już murach. Humor nie pozwala żywić uczucia złości na cały świat.
- 9 Nie dajmy się ponieść logice odwetu, który każe się mścić na wszystkich za domniemane krzywdy i urazy.
- 10 Nade wszystko szanujmy mowę. To ona może przeprowadzić nas przez rozpacz, wyrazić nadzieję, a nawet wieczność.

Bądźmy jak zwierzęta

Działać „jak zwierzę” to domagać się czegoś, wołać o coś, nie z dzikiej chęci sukcesu za wszelką cenę, ale z potrzeby ocalenia



Z TADEUSZEM SŁAWKIEM ROZMAWIA DOROTA WODECKA

Czy esej „Śladem zwierząt” napisał pan również po to, żeby ośwoić się z własnym przemijaniem? Tak, i ze starzeniem się, z ubytkiem sił. Z tym, że nogi coraz cięższe i nietzscheański duch ciężkości bierze nade mną górę, gospodaruje w moim ciele. Marzenie biegacza o lekkich stopach zostaje bezlitośnie zweryfikowane przez czas. Obawa przed tym, że „znieruchomieję”, a ruch jest istotą życia, mówi więcej i głębiej niż słowa, lepiej niż one wyraża istotę życia.

Proszę popatrzeć na rytm biegacza przez płotki. Albo na figury, jakie tancerz wypracowuje w dialogu ze swoim ciałem.

Czym ma być nasze „dochodzenie do siebie”, szczególnie w czasie pandemii? Dokąd właściwie mamy „dochodzić” i skąd?

Dochodzimy do siebie, „podchodząc siebie”. Co to znaczy? Nie chodzi o zastawienie wnyków, schwytanie siebie, upolowanie siebie po to, aby raz na zawsze wiedzieć, „kim się jest”. „Podchodzić siebie” oznacza zachowanie dystansu do siebie. Dzięki takiemu spojrzeniu nie damy się złapać w pułapkę zrównania z funkcjami czy rolami, jakie odgrywamy w życiu.

I nie spłoszymy siebie, nie uciekniemy przed sobą w gładkie ogólniki tożsamości i związanych z nią stereotypów.

Chodzi panu o takie role, jak „dziennikarka”, „wykładowca”, „lekarz”?



ESEJ
**Śladem zwierząt.
O dochodzeniu
do siebie**

TADEUSZ SŁAWEK
Słowo/obraz terytorium, Gdańsk



ESEJ
**Ujmować. Henry
David Thoreau
i wspólnota świata**

TADEUSZ SŁAWEK
Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego
Katowice

Oczywiście, „ta dziennikarka”, „ten nauczyciel” to pani i ja, ale przecież nie cali. Gdyby tak było, byłibyśmy już na wpół martwymi ofiarami wnyków.

Podchodzić siebie to zobaczyć „resztę siebie”, tę, która w naszych rolach wprawdzie się nie mieści, ale jest konieczna, by je dobrze wypełniać, sprawia, że mogę być odpowiedzialnym lekarzem, dziennikarzem, nauczycielem itp. Gdy jestem nimi „bez reszty”, pozostaję tylko zimnym zawodowcem. Zapewne sprawnym, ale zimnym, pozbawionym człowieczego ciepła, które dzielimy ze zwierzętami.

Józef Tischner nazwałby tę „resztę” „miejscem obecności”, a w takim miejscu „człowiek nie jest ani naszym współpracownikiem, ani przeciwnikiem,

ani władcą czy poddanym, lecz tym, któremu najpierw i przede wszystkim po prostu *pozwalamy być*”.

Może czas domowej izolacji był czasem podchodzenia siebie? Może dlatego wydała się nam tak trudna: bo zobaczyliśmy siebie jako tę niezawodową „resztę”, która nam na co dzień umyka?

Wielu moich znajomych czas kwarantanny rozstroił. A pana?

Kilka miesięcy przed uderzeniem epidemii przeszedłem na emeryturę, więc oszczędzono mi przynajmniej tego rozstrojenia, które dotknęło koleżanki i kolegów stających przed koniecznością zdalnego nauczania, które radykalnie zmieniło relację między uczniem a nauczycielem.

Dotknięcie epidemii przybrało więc u mnie bardziej, jeśli to nie za wielkie słowo, „egzystencjalny” charakter. Zostałem nią „dotknięty do żywego”. Piękne wyrażenie odnoszące się do czegoś, co dotyka samej materii naszego życia. Nie musiałem się martwić, jak uczyć w nowej sytuacji, ale niemal wprost tym, jak mam żyć.

W czasie zarazy choroba i śmierć zbliżają się, są blisko, oddychają tym samym powietrzem co my; nie bez powodu mówi się o „morowym powietrzu”. Uderzyło mnie w tych miesiącach, jak bardzo potrzebne są formy wspólnotowego przeżywania świata.

Co ma pan na myśli?

Nie tylko zmienione formy kontaktu międzyludzkiego, ale także naturalną w czasie dotykającą całą

właściwie ludzkość pandemii pilność pytania o nasze związki z tym, co nieskończone. W tym okresie kościoły pozostały otwarte tylko dla ograniczonej nawet do kilku osób liczby wiernych i tym samym zaniknęła moc wspólnej modlitwy jako wezwania, suplikacji.

Puste ulice, tramwaje i autobusy bez pasażerów. Niebo też puste. Konieczność życia w tej pustce ujawniła kruchość naszych więzi i potrzebę wspólnoty społecznej. A jednocześnie dała nam odczuć, jak bardzo nasza wspólnota i społeczna wyobraźnia były już „schorowane” i nadwyżężone. I że trzeba zacząć proces ich leczenia.

Bo od dobrych kilku lat toczy nas inna zaraza, równie niebezpieczna dla dobrostanu społecznego – wirus świadomości wywołującego rozprężenia i nieładu. Mniej lub bardziej jasno dostrzegamy błędy popełnione w minionych latach przez ludzi, którzy decydowali o kluczowych sprawach naszego życia. To te błędy doprowadziły do groźnych, potencjalnie niszczących dysonansów społecznych, politycznych, intelektualnych.

Jest jakieś wyjście?

Ponowne nastrojenie społeczeństwa wymagałoby zmiany. Nie bardzo jednak wiemy, jak nasz świat przestroić. Niestety, coraz wyraźniej dostrzegamy, nie tylko w Polsce, że znaleźliśmy się we władzy ludzi, którzy *przestrojenia* owego nie chcą albo widzą je jako prostą reaktywację minionego czasu.

Pan mówi o świecie, kraju, a ja pytam o nasze pojedyncze życia.

Rozstrój dotyka wiele sfer egzystencji. Wirus zamknął nas w domach, a zatem rozregulował nasze relacje z zewnętrzną rzeczywistością, sprawił, że przestaliśmy być *zestrojeni* z rutynowymi sposobami wypełniania naszych obowiązków. Przestaliśmy współbrzmieć ze światem zewnętrznym, który z dnia na dzień stał się światem oddalonym, *zdalnym*.

Ale, jak w wielu kryzysowych sytuacjach, i w tej tkwi szansa. Mam nadzieję, że wtrąceni nagle w sytuację nową zobaczyliśmy, co złego było w tych nawykach, które do tej pory bezpośrednio kształtowały nasz obraz świata i nasze życie.

Praca zdalna dotyczyła w minionych miesiącach i wciąż dotyczy sporej części społeczeństwa. Co zmieniła w naszym życiu?

Po pierwsze, gdy niemal wszyscy pracowaliśmy zdalnie, dotarło do nas, jak bardzo potrzebujemy bliskości z innymi i jak bardzo jej nie ceniliśmy, traktując ją jako coś oczywistego i danego „na zawsze”.

Po drugie, utraciliśmy poczucie obecności innych ludzi i, co więcej, także poczucie całej bogatej przygodności życia.

Wychodząc z domu w czasach zwyczajnych, nigdy nie jesteśmy w stanie przewidzieć, co stanie na naszej drodze, jaki remont zmusi nas do przejścia na drugą stronę, skąd odsłoni nam się zupełnie inny widok kamienic, obok których dotąd przechodziliśmy obojętnie. Nagle dotarło do nas, ile zawdzięczamy kontaktom, nawet tym niegłębokim, i zdarzeniom, także tym przygodnym.

Jest po trzecie?

Po trzecie, niestety, gdy zestawień wydzźwięków słynnej już pieśni Kazika „Twój ból jest lepszy niż mój” z sondażami poparcia partyjnego dotyczącymi negatywnych bohaterów tego songu, nasuwa się bar-



Teraz musimy wrócić do zwierzęcia, aby stan naszych spraw uczynić bardziej ludzkim

dzo niepokojące podejrzenie, że zgodziliśmy się na to, by ktoś inny żył nasze życie.

Nie rozumiem.

Song Kazika, jeśli interpretować go w tym konkretnym momencie historycznym, wyraża moim zdaniem przyzwolenie na to, by jakaś figura władzy przejęła „moje życie” i „żyła mną” w moim imieniu. Nie muszę się starać, ta figura będzie żyła za mną! W tym sensie „ból” owej politycznej figury jest „lepszy” od mojego, bo łączy w sobie prywatność z powszechnością spełnionej ofiary, zamieniając go w ból narodowy. „Chciałbym odwiedzić grób bliskiej osoby, ale ty, polityczna figura, odwiedźś cmentarz w moim imieniu i przejmiesz mój ból po stracie” – tak można streścić ten song.

Kiedy ludzie skandowali: „Jarosław, Polskę zbaw!”, wyrażali zgodę na przejęcie swojego życia przez fałszywie mesjańskie obietnice. Władza wzięła takie okrzyki za dobrą monetę i żyje nasze życie bezwstydnie, bez słowa przeprosin, uważa bowiem przechwytywanie naszego życia za swoją powinność.

Grecka demokracja знаła pojęcie *aidos*, które oznaczało dyspozycję do wycofywania się, powstrzymywania się od zabierania całej przestrzeni, pozostawiania miejsca dla innych. Była to ustepliwość ułatwiająca dialog i ewentualny kompromis wynikający ze zdolności do wysłuchania racji innych niż własne.

Tu się zatrzymajmy, bo to nie ma być rozmowa o polityce. Czy z pana przemyśleń wyłania się jakiś zestaw wskazówek dla naszych czytelników na czas po pandemii?

Nie poważyłbym się dyktować nikomu, jak ma postępować. Skutki takich wygórowanych ambicji widzimy dzisiaj codziennie wokół siebie. Mogę jedynie podzielić się „wskazówkami”, które staram się stosować (zapewne nie zawsze konsekwentnie ani skutecznie) w swoim życiu. Jeśli używam tu liczby mnogiej, to nie wyraz megalomanii, ale przekonania, że żyję wraz z innymi i dzięki nim. Stąd wskazówki to tylko zaproszenie do krytycznej rozmowy.

Rzeczywistość, i to w skali globalnej, nie chce się do tych wskazówek stosować. Czy jest w ogóle możliwe uwolnienie się od dyktatu świata?

To zależy, jak będziemy ów dyktat pojmować.

Wydaje się, że dzisiaj nasze życie jest regulowane przez dwa wielkie procesy: informatyzacji i socjalizacji. Pierwszy operuje coraz większą ilością danych i coraz szybszymi sposobami ich przekazywania. Powołuje do życia model człowieka „poinformowanego” i „niecierpliwego”. Nasza niecierpliwość dopinguje nas do nieustannego poszukiwania danych, aby być „dobrze poinformowanym”.

Zwróćmy uwagę, że chodzi tu o bycie nie „poinformowanym”, lecz właśnie „poinformowanym”. Gdy piszę „powiadamiam Cię, że...”, występuję ja-

ko ktoś, kto ma jakąś „wiadomość” i zachowuje jakiś osobisty z nią związek. „Informowanie” jest inne: to przekaz obojętnej danej, biurokratyczny przekaz z powołaniem na przepis lub źródło. Wszyscy jesteśmy elementami tych dwóch procesów. Ustanowią one „dyktat”, gdy nie przeciwstawimy im procesu trzeciego.

Co nim jest?

Emancypacja, czyli wysiłki jednostki zmierzającej do tego, by ustanowić się jako podmiot, krytyczny i niezawisły. Powinna temu służyć edukacja, ale dawno zrezygnowała z tej roli, ulegając wąsko i zbyt wcześnie podejmowanej specjalizacji służącej wyłącznie dopasowaniu się do rynku pracy.

Jeśli nie edukacja, to co?

Sztuka, która jak pisze Paul Valéry, daje nam środki do badania dowolnego fragmentu naszej wrażliwości i ożywia nasze uczucia. I wolna indywidualna refleksja zakotwiczona w lekturze. No i działalność we wszelkiego rodzaju formalnych i nieformalnych grupach zaangażowania obywatelskiego.

Tylko mądre angażowanie się w świat, w świat, podkreślam, a nie w ideologię, może dać nam szansę uwolnienia się od dyktatu świata. Uwolnienie to nie ma nic wspólnego z ucieczką od rzeczywistości; przeciwnie – jest formą empatycznego i solidarnościowego w nią wejścia.

W piątym rozdziale „Traktatu politycznego” Spinoza pisze: „Państwo, którego pokój zależy od bierności poddanych, dających się prowadzić jak trzoda, by nauczyć się tylko służyć, zasługuje raczej na nazwę pastwiska aniżeli państwa”. Władza wie o tym i boi się tego typu angażowania się.

Gdy rządzący nazywają „łajdackimi” organizacje broniące dobrostanu zwierząt, dowodzą tego, że pragną widzieć obywatela jako „trzodę”. O którą zresztą nie będą się zbyt troszczyli.

„Jak zwierzę” jest napomnieniem, że nie jesteśmy dość ludzcy. A tymczasem pan proponuje dochodzić do naszego człowieczeństwa, odwołując się właśnie do postawy „jak zwierzę”.

Utarte porównania są wyrazem naszego pragnienia, by odróżnić się za wszelką cenę od zwierzęcia. To pragnienie sprawia, że o niektórych ludziach mówimy, że zachowują się „jak świnie”, są głupi „jak gęsi”, uparci „jak osły”. A gdy robimy coś wyjątkowo złego, opadamy w „zezwierzęcenie”. Wszystko to określenia zadufanego rozumu.

Tymczasem to dostrzeżenie w zachowaniach człowieka tego, co zwierzęce, nadaje barwę wszystkim działaniom człowieka, które inaczej ugrzęzłyby we mgle abstrakcji. Czym byłaby moja upartość bez osła? Moja głupota bez gęsi? Moje niechlujstwo bez świni?

Nie upajam się tymi porównaniami, rzecz jasna zachowuję wobec nich krytyczny dystans. Ale widzę, że one – przewrotnie – stowarzyszają mnie ze zwierzętami. Odnajduję dzięki nim wspólny z nimi rytm życia; wspólna miara nas mierzy.

Być „jak zwierzę” jest przeciwstawne do „jak człowiek”. I jest gorsze. Człowiek myśli, zwierzęta mają instynkt.

„Jak zwierzę” to położenie nacisku nie tylko na instynkt, ale też przede wszystkim na siłę życia, z której dopiero wyłaniają się te jego formy, które praktykujemy w naszym życiu społecznym. Podziwiamy zwierzęta za ich czujność, wieczną gotowość

do ruchu, skoku, pościgu, ucieczki. Za tą gotowością stoi właśnie siła życia pragnącego żyć; wbrew znuczeniu, zmęczeniu, strachowi, nawet – grozie.

Będąc „jak zwierzę”, chwalimy życie nie dlatego, że jest szczęśliwe i piękne; chwalimy je mimo że niesie cierpienie i śmierć. Cieszymy się nim bez pretekstów, wymówek, intryg.

Historia człowieka, inaczej niż historia zwierzęcia, to dzieje wybiegów, intryg, insynuacji i brutalnego, celowo wykoncypowanego okrucieństwa. Mistrz Jonathan Swift opisał to najlepiej ze wszystkich, oczywiście w „Podróżach Guliwera”, zwłaszcza w ostatniej wyprawie tytułowego bohatera do krainy mądrych koni. Są rozumne i powściągliwe, nie kłamią, nie są chciwe i nieumiarkowane w jedzeniu i picu. Nie znają pojęcia zła. Ono przynależy Jahusom, istotom podobnym do człowieka. To duże uproszczenie, za które na przykład sir Isaiah Berlin krytykował Oświecenie: kult rozumu pozbawionego łączności z innymi aspektami człowieczego bytu. Ale nie zmienia to zadania, które powinniśmy jako kultura polska przed sobą postawić: przerobić najpierw porządek i głęboko lekcję europejskiego Oświecenia.

Być „jak zwierzę”, by ująć rzecz inaczej, to znaczy próbować skierowaną ku przyszłości przemysłowość *cogito* skorygować czujnością wobec chwili bieżącej.

A „jak człowiek” to nie mieć kontaktu z chwilą bieżącą?

Niekiedy. Polityka stała się dziś polem, na którym należy stosować wszelkie możliwe środki do spełniania mniej lub bardziej urojonych ambicji. Działać „jak człowiek”, to dążyć bezwzględnie do realizacji swego zamierzenia w bliższej lub dalszej przyszłości. To pozwala na niszczenie, a przynajmniej psucie i niedoszacowanie momentu „teraz”.

Tymczasem działać „jak zwierzę”, to otaczać troską „teraz”, być wobec „teraz” czujnym i czułym. Pseudodialog prowadzony dzisiaj w sferze publicznej, będący w istocie wymianą inwektyw, niszczy „teraz”, jedyny czas dany człowiekowi.

Gdy „ludzki” świat okazuje się okrutnie „nie-ludzki”, „zwierzę” okazuje się zatem ostatnią nadzieją, ostatnią linią obrony człowieczeństwa.

Tak. Bo działać „jak zwierzę”, to domagać się czegoś, wołać o coś, nie z dzikiej chęci sukcesu za wszelką cenę, ale z potrzeby ocalenia. Wtedy, mimo całego okrucieństwa świata, zdobywamy się nie tylko na czujność, ale też czułość. Wtedy właśnie jesteśmy wyczuleni, podatni na to, co przychodzi ze świata. A czujność to siła życia, o której mówiliśmy.

Tak czy inaczej, czułość to sposób ratowania, ocalenia, a nie ucieczki czy odgradzania się. To nić Ariadny, która wyprowadza z labiryntu. Albo ręka Nauzykai wyciągnięta w stronę nagiego Odyseusza, który wyrzucony na brzeg przez fale, pełnie bezradnie po piasku „jak górski lew”. Sunie w stronę pięknej królowy nie z wrogim zamiarem, lecz „z potrzeby” ocalenia.

Te dwie sprawy są tu fundamentalne: to, co przychodzi do nas ze świata, idzie ku nam „z potrzeby”, niekoniecznie nam grożąc. Tej „potrzeby” powinniśmy wysłuchać. I druga sprawa: ten, kto idzie „z potrzeby”, kto szuka ocalenia, komu dom zawalił się na głowę pod ciężarem bomb, ten idzie ku nam „jak zwierzę”, to znaczy „z potrzeby życia”.

Lektura VI Księgi „Odysei” powinna być dzisiaj obowiązkowa w szkołach.

Jest, w liceum, we fragmentach.

Nawet jeśli, to nie przyłożyliśmy się do tej lektury. Gdyby tak było, brednie wygłaszane o cudzoziemcach roznoszących mikroby i bakterie nie znalazłyby tak łatwego posłuchu i nikt z lekkim sercem nie przekreśliłby solidarnościowego paktu wymagającego od Polski przyjęcia 7 tys. uchodźców. Pokazaliśmy świat nieludzki. I nawet nie zawstydziliśmy się z tego powodu. Przeciwnie, rozparła nas głupia duma, że niby wykazaliśmy się racjonalnością. Ale racjonalność pozbawiona chęci odpowiedzi na wołanie o ocalenie jest tym, co Husserl nazywał „złąkaną racjonalnością”.

Teraz musimy wrócić do zwierzęcia, aby stan naszych spraw uczynić bardziej ludzkim. „Wrócić do zwierzęcia”, czyli do czujności, która nie jest czujnością strażnika granicznego, ale czułą czujnością tego, kto chce odpowiedzieć temu, co idzie do nas „z potrzeby”.

Thoreau, któremu poświęcił pan książkę, napisał, że „tylko jednostki zaludniają świat”. Jak dziś rozumieć tego filozofa, którego popularność ostatnio rośnie.

Myślę, że przede wszystkim jako ostrzeżenie przed zorganizowanym szantażem. I to nie tylko szantażem tzw. większości, ale nawet szantażem, jakim mogą się stać nasze własne idee, o ile nie zachowamy należytego wobec nich dystansu. W słynnym eseju o nieposłuszeństwie obywatelskim czytamy: „Nie można jednak trzymać się zbyt sztywno swoich opinii, żeby nasze działanie nie wpływało z zawziętości i niewłaściwego spojrzenia na zapatrywania innych. Musimy zrozumieć, że powinniśmy robić tylko to, co do nas należy i jest w danej chwili najodpowiedniejsze”. Kolejny tekst do przeczytania w szkole, nie mam złudzeń, by trafił na listę lektur.

Gdy czyta się ów esej, widać wyraźnie, że zamierzona po II wojnie wspólnota europejska mogłaby być czymś w rodzaju mądrego i dojrzałego „państwa”, o którym marzył Thoreau. Tak kończy swój esej: „Z lubością wyobrażam sobie, że powstanie wreszcie państwo, które byłoby stać na sprawiedliwość wobec wszystkich ludzi i na traktowanie jednostki z szacunkiem należnym bliźniemu; państwo takie nie uważałoby, że spokój zakłócają mu nawet nieliczni żyjący na uboczu, (...) którzy nie będąc jego stronnikami, wypełnialiby jednak wszystkie swoje obowiązki wobec bliźnich i rodaków”. Nazywa to państwem ze swojej wyobraźni, które jeszcze nie powstało. Ale projekt europejski mógłby być takim „państwem z wyobraźni”. Problem z niedostatkiem tejże u polityków.

To, że wspólna Europa przenikalnych, „miękkich” granic zaczęła się od wspólnoty węgla i stali, było tyleż sygnałem dotyczącym wagi spraw gospodarczych, co wyrazem świadomości, że to właśnie gospodarka może stanowić neutralny grunt porozumienia dla państw, które ledwie co padły ofiarą straszliwych nacjonalistycznych szaleństw.

Szwajcarski myśliciel, jeden z twórców idei europejskiej, Denis de Rougemont w „Liście otwartym do Europejczyków” (1950) mówi wyraźnie o wirusie nacjonalizmu: „(...) współczesne Państwa-Narody przyniosły Europie tylko nieszczęścia: rozpoczynając się od lat 1880-tych potężną falą kolonializmów, śmierć trzydziestu ośmiu milionów w czasie dwóch wojen, schyłek tysiącletniej pozycji, upokorzenie w obliczu nowych potęg światowych”.

Dlatego „podchodząca siebie” jednostka, czujnie umykająca przed samą sobą, strzegąca się zbyt łatwych autodefinicji, jest dla Thoreau tak istotna. „Sposoby, którymi większość ludzi zarabia na życie, a więc żyje, są tylko namiastką, skurczoną istotą prawdziwego życia...”. W eseju „Życie bez zasad” Thoreau zostawił nam przenikliwą medytację na ten temat. Domaga się w nim życia autentycznego nie tylko dla jednostki, dla której stało się ono już tylko „przeżyciem”, ale również dla społeczeństwa.

„Sposoby, którymi większość ludzi zarabia na życie, a więc żyje, są tylko namiastką, skurczoną istotą prawdziwego życia...” – to brzmi niemal jak Marksowa analiza wyalienowanej egzystencji robotnika. Thoreau domagał się autentycznego życia nie tylko dla jednostki, dla której stało się ono jedynie „przeżyciem”, ale również dla całego społeczeństwa, w którym więzi ludzkie zostały zniekształcone. „Zbyt często może strzegę zazdrośnie swej wolności. Czuję, że moje związki ze społeczeństwem i zobowiązania wobec niego są jeszcze luźne i krótkotrwałe”, píše Thoreau.

Ktoś, kto uchodzi przed sobą, kto ma siebie stale dopiero przed sobą, kto schodzi w głąb siebie, kto jest z punktu widzenia obowiązującego porządku rzeczy słaby i kruchy, ten dobrze służy wspólnocie także dlatego, że krytycznie ocenia stan swych relacji ze wspólnotą i będzie się starał relacje te uczynić mniej „luźnymi i krótkotrwałymi”.

Jednym ze sposobów wzmocnienia tych relacji jest przestrzeganie wspólnoty przed próżną narodową dumą prowadzącą do zgubnych następstw.

Powiedział pan profesor, że „podchodzenie” wymaga wycofania się. Znowu nie rozumiem.

W podchodzeniu to nie ja jestem ważny, ale to, co przede mną, i to, co mnie poprzedziło i wyprzedziło, zostawiając swój znak. W podchodzeniu jestem *pośledni*: drugiej kategorii; jestem bytem w tle. Gdy podchodzę, muszę wstrzymać oddech, aby nie spłoszyć tego, co zostawiło ślad. A ponieważ oddech to życie, podchodzenie to chwilowe zatrzymanie się na krawędzi życia, zastęgnięcie. W momencie gdy wstrzymuję oddech, zaczyna się coś ważnego.

To znaczy co?

Coś, czego nie potrafię zdefiniować, a co nadaje życiu blask, ściemniały, bo przecież stoimy na krawędzi życia. Ale w tym momencie, zdaje się, przebyskuje ku nam niejasna wiedza o tym, o co chodzi w życiu i śmierci.

„Żyj w każdej porze roku zgodnie z jej przemijaniem”. „Nie zapominaj o zobowiązaniu do bycia istotą towarzyszącą”. Co oznaczają te dwa postulaty – Thoreau i pana?

„Przemijanie” nie jest słowem, które lubimy. Przypomina nam, że coraz większe jest królestwo „już nie”, a republika „jeszcze nie” kurczy się i więdnie. Coraz mniej czasu, coraz więcej lektur nieprzeczytanych i już nie do przeczytania, miejsc nieodwiedzonych i już nie do odwiedzenia.

Ale przemijanie można obrócić przeciwko niemu samemu.

Jak?

Gdy doświadczamy niepowetowanej straty, możemy próbować wzbogacić mijający moment, spowodować, że będzie momentem wzrostu, a nie tylko błędnięcia. Właśnie takie postępowanie nazywam „towarzyszeniem”. Gdy uważnie i w skupieniu czyni-

my to, co czynimy, i wiążemy to z innymi okolicznościami, faktami, problemami, osobami. Tak potraktowany moment zaczyna „promieniować”, tworzyć sieć z innymi chwilami i miejscami. Teraz chwila nie przepada już bezpowrotnie, ale trwa i rezonuje w innych czasach i przestrzeniach.

Czy nie dokładnie o tym mówi Goethe, wkładając w usta Fausta zawołanie: „Trwaj chwilo, jesteś piękna!”? To samo postulowała na początku lat 90. Jolanta Brach-Czaina w swej wizji człowieka jako bytu „krzątaczego” wyłożonej w książce „Szczeliny istnienia”.

A najbardziej rzeczowy i wyrazisty zapis takiej praktyki ocalenia chwili wyszedł spod pióra Marguerite Yourcenar: „Kiedy gniołę ciasto, myślę o tych, co siali zboże, o spekulantach, którzy zawyżyli jego cenę, o technokratach, którzy zniszczyli jego smak – nie żeby nowoczesne technologie były złem samym w sobie, lecz dlatego, że zaprzedały się w służbę zachłanności, która jest złem, i że większość z nich napędzana jest energią stwarzającą zagrożenie”. „Towarzyszenie” świata oznacza więc budowanie więzi, łączenie, stwarzanie oddzielnych pozornie wydarzeń w pajęczą, a nie informatyczną, sieć nici, które snują krytycznym wysiłkiem mojego rozumu, emocjonalną siłą afektów i praktycznym wysiłkiem mojego ciała.

Czy „towarzyszenie” – albo, mówiąc innym językiem – buddyjskie skupienie na chwili może uchronić od smutku? Postpandemicznego na przykład?

Wybitny amerykański krytyk George Steiner (1929-2020) wymienia aż dziesięć możliwych przyczyn smutku myśli, ale ostatnia z nich jest dla nas szczególnie interesująca.

Mówi bowiem o tym, że nie ma myślenia o życiu bez myślenia o śmierci. Zastępując myślenie o śmierci konsumenckim hedonizmem, czynimy krzywdę. Nie tylko sobie, ale także światu, bo jedynie go zagospodarowujemy, czynimy go światem bezmyślnym. Nawet nasze myślenie o śmierci jest w nim wtedy tylko pozornie myśleniem.

Polityka naigrawa się dzisiaj ze śmierci, traktując ją jako rekwizyt pomocny w ideologicznych przedstawieniach; z jej pomocą narzucając ludziom jeden obowiązujący model życia i myślenia. Za nic ma to, że ludzie mają jedno i niepowtarzalne życie, a zarazem jedną śmierć i chcą jej doświadczyć po swojemu.

Czas kwarantanny wytrącił nas z kolein i zmusił do rozmyślenia nad tym, po co żyje i czy żyje tak, jak chciałbym żyć. A to zapewne musi doprowadzić do zmiany nie tylko sposobu pracy. Na czym ta zmiana mogłaby polegać?

Pandemia pokazała, że nie byliśmy przygotowani do raptownej zmiany „trybu” pracy i życia. Można by rzec, że żyliśmy „bez żadnego trybu”, siłą bezwładności i przekonania, że wszystko „ułożyło się” już nie tylko „na zawsze”, ale przede wszystkim „na DOBRE”.

To znaczy straciliśmy czujność „zwierzęcia” zawsze gotowego do błyskawicznej reakcji na nową sytuację. Czy ukształtuje się po epidemii nowy „tryb”? Być może tak, ale obawiam się, że głównie w sensie technicznym. Zdalna praca, bo taniej, zdalne nauczanie, bo ogranicza kontakty i sprzyja mu powszechność nowych mediów.

Natomiast gdy chodzi o nowy „tryb” jakości życia, zmiana jest wątpliwa. Leszek Kołakowski w ese-

ju o Chrystusie wyszydzonym mówi, że dla większości naszych problemów nie ma prostych rozwiązań technicznych czy administracyjnych. Niezbędna jest *metanoja*, przemiana duchowa. A chęci do jej dokonania nie widzę.

Istotą nauki jest kontakt bezpośredni – uczeń i mistrz. Komu może być na rękę ograniczanie tej relacji i dlaczego? I kim staniemy się bez tej bezpośredniej relacji?

Zasadnicze pytanie dotyczące każdego nauczania można zadać w każdej sytuacji, ale by miało ono swoją siłę, by naprawdę poruszyło, powinno się je zadać w bezpośrednim kontakcie nauczyciela z uczniem, bo tylko wtedy rozebrzmi ono z właściwą mocą.

Pytanie to, które zadają sobie sam w imieniu ucznia, lub które powinien mi zadać on sam, brzmi nie „co umiesz?”, „czego się nauczyłeś?”, „ile przynosisz punktów za publikację?”, ale „po co właściwie mnie uczysz?”.

Thoreau, który był krótko nauczycielem w szkole w rodzinnym Concord, ale zmuszono go do porzucenia fachu z racji zbyt nowatorskich metod, powie to lepiej ode mnie: „Ludzie przeważnie pytają tylko o takie rzeczy jak: »Skąd przyszedłeś?« lub: »Dokąd idziesz?«. Kiedyś jednak doleciało mnie pytanie mające większy związek z aktualną sytuacją. Zadał je jeden z moich słuchaczy drugiemu: »Po co on prowadzi ten wykład?«. Zachwiałem się na nogach”. Nauczyciel powinien zawsze nasłuchiwać tego pytania, by doświadczyć właśnie „zachwiania”.

Od niego, a nie od zabójczej pewności siebie i zaufania, może się zacząć przemiana.

I co pan dziś czuje? Wściekłość? Żal?

To raczej żal niż „wściekłość”. Żal, że tak niszczyliśmy sami siebie, że zniechęcamy ludzi do samej idei prawa, zamieniając je w zbiór politycznych chwytów, że tak lekko potrafimy wygłaszać obraźliwe słowa mające zdyskwalifikować tych, którzy mają inne poglądy, że lekceważymy naturę, szykując koszmarną przyszłość naszym dzieciom i wnukom.

To żal nad stratą, nad tym, że odbieramy sami sobie radość życia i satysfakcję z tego, co zbudowaliśmy.

Ale żal, cokolwiek by powiedzieć, to też emocja. Nie sądzę jednak, by trzeba się było bać emocji. Trzeba się nauczyć je harmonizować z emocjami innych i racjonalnymi ideami.

Wielki mędrzec Spinoza wiedział, że cokolwiek by uczynić, w ostatecznym rozrachunku łądujemy pośród emocji. W „Traktacie politycznym” czytam: „religia uczy, by każdy kochał bliźniego jak siebie samego, ale przekonanie to, jest bezsilne wobec afektów”.

Co nam zatem pozostaje?

Znowu Spinoza: „starałem się usilnie o to, aby ludzkich postępów nie wysmiewać, nie oplakiwać i nie potępiać, lecz je zrozumieć”.

Tadeusz Sławek, ur. w 1946 r., anglista, tłumacz, poeta, literaturoznawca. Profesor Uniwersytetu Śląskiego, w latach 1996-2002 jego rektor. Członek kapituły łódzkiej Nagrody im. Tadeusza Kotarbińskiego (w tym roku odbędzie się jej szósta edycja). Autor m.in. „Ujmować: Henry David Thoreau i wspólnota świata”, „U-bywać. Człowiek, świat, przyjaźń w twórczości Williama Blake’a”, „U-chodzić” i wydanej ostatnio „Śladem zwierząt. O dochodzeniu do siebie”. Jego esej „Kafka. Życie w przestrzeni bez rozstrzygnięć” jest wśród tegorocznych książek nominowanych do Nike